



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi Mazowiecka Nr. 8.

POGADANKA BOTANICZNA.

Co rok w miesiącach letnich opowiadaliśmy czytelnikom „Wieczorów” o roślinach, mogliśmy więc odesłać ich do tych dawniejszych pogadanek. Ale otrzymaliśmy od miłych naszych korespondentek liczne liściki z prośbą, aby opowiadania botaniczne były i w tym roku podawane. Przedmiot to w rzeczy samej niewyczerpany, zawsze też znajdzie się co opowiadać, a jeśli wspomniemy kiedyś i o takich wiadomościach, o których już przedtem niegdyś była mowa, czytelnicy zapewne za złe nam tego nie wezmą. W nauce każdej pożytecznie jest bowiem przypominać sobie i to, o czém się już ma wyobrażenie.

Trudno przypuścić, aby kto kwiatów nie lubił, a jednak, wiercie mi, póki uwagę waszą zwraca tylko kształt ich ozdobny, piękna barwa, zapach przejmujący, nie możecie jeszcze pojąć, o ile większej przyjemności doznają ci, którzy na kwiaty patrzą umiejętnie, posiadając wiadomości z botaniki. Drobne szczegóły, których człowiek nieświadomy nie dostrzega wcale, w prawdziwy zachwyty wprawiają uczonego.

Znakomity botanik szwedzki Linneusz, ten sam, którego wizerunek wam dziś podajemy, siedział raz nad wiązką kwiatów, oglądając je pilnie. Twarz jego przytém tak się rozjaśniła, odbił się na niej taki wyraz



Karol Linneusz.

podziwu i uwielbienia, że przyjaciel jego, zszedłszy go tak niespodzianie, zapytał, co mu się stało.

— W tej chwili ujrzałem ślad widomy Bożej ręki — odrzekł uczony. A ten ślad potęgi Stwórcy ukazał mu się w kielichach kwiatowych, w kunsztownej ich budowie, której doskonałości udało mu się wykryć i zrozumieć.

Gdy zrywacie kwiaty na łące lub w ogrodzie i układacie z nich wiązanek, idzie wam zazwyczaj jedynie o dobranie stosownych barw, aby całość miłe sprawiała wrażenie. Lecz botanik całkiem co innego ma na względzie, gdy zbiera rośliny do zielnika; on patrzy przedewszystkiem na wewnętrzną budowę kwiatu, a gdy ją pozna dokładnie, nieraz potrafi oznaczyć z największą pewnością nazwę takiej rośliny, której przedtem nigdy w życiu nie widział.

Rośliny, na pozór wcale do siebie niepodobne, mają jednak często pewne cechy wspólne w budowie swych kwiatów, pewne wybitne podobieństwa, które botanicy nazywają pokrewieństwem i takie rośliny do wspólnej rodziny zaliczają.

Porządna klasyfikacja roślin bardzo niedawno zaprowadzona została w nauce botaniki, a Linneusz był pierwszym, który obmyślił prosty i łatwy do tego sposób, i ponadawał roślinom nazwy dokładne, a łatwe do spamiętania, bo są zawsze z dwóch tylko wyrazów złożone. On także pierwszy zwrócił na to uwagę, że najważniejszą częścią każdej rośliny jest kwiat, wydający nasiona, i według budowy wewnętrznej kwiatów zaczął rośliny odróżniać jedne od drugich i klasyfikować.

Linneusz żył jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku, od czasów jego dużo bardzo zmian zaprowadzono w klasyfikacji, ale systemat jego przez czas długi był powszechnie przyjęty, gdyż ułatwiał bardzo rozpoznawanie i porządkowanie roślin. Warto więc, abyście o nim mieli niejaki wyobrażenie.

Weźcie do ręki jakikolwiek kwiat, naprzykład pierwiosnek, który już teraz z łatwością znajdziecie. Obejrzyjcie uważnie wszystkie części kwiatu, najpierw kielich zielony, potem wychodzącą z niego żółtą koronę, wreszcie w głębi tej korony obaczycie coś nakszałt gałeczki, na wysokości przytwierdzonej; to słupek, z niego nasionko się zawiąże. Głębiej jeszcze, na samym spodzie kwiatu, ukrywają się pręciki, krótkie niteczki do korony przyrośnięte, u góry zakończone pylnikami, woreczkami pełnymi drobnutkiemu pyłku. Pyłek to życiodajny, bo gdy padnie na słupek, sprawia, że nasionko się w nim zawiązuje. Gdyby kto odciął pylniki w kwiecie świeżo rozwiniętym, słupek opadłby pusty, nie wydałby nasienia.

Wiecie zapewne, że nie w każdym kwiecie jest pięć pręcików, lilak naprzykład, czyli bez ogrodowy, ma tylko dwa pręciki, a jaskier, mak, mają ich mnóstwo nieprzeliczone. Są także kwiaty o jednym pręciku, czterech i t. d. Ozdobny kwiat ogrodowy *Canna indica*, po polsku paciorecznikiem zwany, ma jeden tylko pręcik rozszerzony i spłaszczony.

Otóż cały systemat klasyfikacji Linneusza polega głównie na ilości pręcików; dzieli on wszystkie rośliny na klasy, do pierwszej zalicza takie, które mają kwiaty o jednym pręciku, do drugiej o dwóch pręcikach, do trzeciej o trzech i t. d.

Łatwo zrozumieć, że taka klasyfikacja jest bardzo niedoskonała, bo mogą być rośliny, mające też samą liczbę pręcików w kwiecie, całkiem jednak do siebie niepodobne. I tak naprzykład: nasze trawy mają wszystkie, z wyjątkiem jednego gatunku, po trzy pręciki. Kosańce, irysy i mieczyki, *gla-*

diolus, mają ich także po trzy. U Linneusza zatem trawy muszą być zaliczone do jednej klasy z irysami, a za to owa trawka o dwóch pręcikach, zwana tomką wonną, *antoxanthum odoratum*, przeniesiona jest do innej klasy, do drugiej, w której wraz z nią mieści się bez ogrodowy o dwóch pręcikach.

Moglibyśmy tu bardzo dużo podobnych przykładów naliczyć. To też sam Linneusz czuł to doskonale, że jego klasyfikacja nie jest dobrą i tylko dla uniknięcia wielkiego zamieszania nią się posługiwał. Przeczuwał on pokrewieństwo przyrodzone pomiędzy roślinami, ale po nim dopiero późniejsi botanicy ustalili systemat podziału na rodziny, który jest dziś powszechnie przyjęty.

I ta klasyfikacja głównie polega na budowie kwiatu, najczęściej też cała taka rodzina przyrodzona ma także jednakową ilość pręcików i w systemacie Linneusza do jednej klasy bywa zaliczona. Dużo jest jednak wyjątków od tego prawa, mieliśmy tego przykład na trawach. Tomka wonna przedstawia wszystkie cechy pokrewnych sobie trawowatych chociaż ma tylko dwa pręciki, a inne mają ich trzy.

Często napotkać można dwie rośliny, bardzo podobne do siebie z liści i całej powierzchowności, a jednak różniące się bardzo kwiatem i z tego powodu do dwóch odmiennych rodzin należące. Weźmy naprzykład dwa chwasty bardzo polite, pokrzywę zwyczajną, parzącą, i drugą roślinę, która ma liście tak podobne do niej, że ją pospółstwo, sądząc z pozoru, przezwąło martwą pokrzywą. Ale niechże obie zakwitną, a zaraz obaczymy ogromną różnicę.

Pokrzywa prawdziwa, *urtica*, ma kwiatki niepozorne zielone, które tę osobliwość przedstawiają, że w jednych osadzone są same pręciki bez słupków, w drugich znów same słupki bez pręcików. U nas pospolite są dwa gatunki pokrzywy, jedna mniejsza, ma pręcikowe i słupkowe kwiaty na tym samym krzaku; druga, większa, na jednych krzakach ma same słupkowe, na drugich same pręcikowe kwiaty. Nasiona nie mogą się zawiązać, póki wiatr lub owad jaki uczynny nie przeniesie troszkę pyłku życiodajnego z jednego krzaku na drugi.

Kwiat pokrzywy martwej, której nazwa właściwa jest jasnota, *lamium*, różni się niezmiernie od niepozornego, zielonkawego kwiatu pokrzywy. Kwiat ten bywa biały lub purpurowy, ale kształt zawsze ma zupełnie jednakowy, odrębny i bardzo charakterystyczny, łatwy do rozpoznania. Korona jego nie jest regularna, symetryczna, jak u pierwiosnka na przykład lub u jaskru, ale dziwacznie z jednej strony wygięta, wygląda zupełnie, jakby rozciąta, zwieszona wargą. Pręciki w tym kwiecie także są szczególne, jest ich cztery, dwa dłuższe, a dwa znacznie krótsze.

Gdybyście na wiosnę i latem poszukali pomiędzy chwastami w polu i na łąkach, pod płotami ogrodów, znaleźlibyście dużo kwiatów różowych, purpurowych, lila, odznaczających się podobną wargową koroną i pręcikami *dwusilnemi*, jak je Linneusz przezwął. Wszystkie one należą do jednej rodziny roślin wargowych, *labiatae*.

Te kwiaty, tak podobne do siebie, pomimo różnic barw, a nawet i kształtów, najlepsze wam dadzą wyobrażenie o tém, co znaczy w botanice nazwa rodziny, pokrewieństwo bowiem pomiędzy nimi jest uderzające. Wracając teraz do jasnoty, czyli martwej pokrzywy, widzimy, że kwiat jej bywa biały i purpurowy, czasem też jasnota o kwiatkach purpurowych, ma liście białymi plamkami oznaczone. Botanik napowie, że trzy te rośliny są to trzy różne *gatunki* tegoż sa

PAMIĘTNIK SŁUŻĄCEGO,

spisał Michał Krzemięń.

(Dalszy ciąg).

tego rodzaju jasnoty, pierwszy gatunek nazywa się jasnotą białą, *lamium album*, drugi jasnotą purpurową, *lamium purpureum*, trzeci jasnotą plamistą, *lamium maculatum*, A więc pierwsza nazwa ogólna *lamium* oznacza rodzaj rośliny, druga szczegółowa, *album*, *purpureum*, *maculatum* oznacza gatunek. Otóż tę terminologią tak jasną i wygodną zawdzięcza nauka botaniki Linneuszowi.

Jeżeli różnica jest znaczniejsza, roślina zalicza się, nietylko do innego gatunku, ale i do odmiennego rodzaju, a zwykle każdy rodzaj kilka gatunków w sobie mieści. Wszystkie zaś rodzaje, przedstawiające wybitne pomiędzy sobą podobieństwo, tworzą rodzinę roślinną. O rodzinie wargowych opowiadaliśmy już kiedyś obszerniej czytelnikom naszym, odsyłamy więc ciekawych do tej dawniejszej pogadanki.

W tej rodzinie wszystkie rośliny są zielne, niezbyt okazałych rozmiarów, lecz w innych bardzo często napotkać można wybitne podobieństwo pomiędzy małym, niepozornym ziołkiem i drzewem ogromnym. Weźcie na przykład groch nasz ogrodowy lub polny. W każdym gatunku grochu obaczmy zawsze ten sam kwiat, kształt jego jest także niezmiernie odrębny i charakterystyczny, wygląda, jakby motyl z rozłożonymi skrzydłami. Pręciki są ułożone w sposób szczególny, jest ich dziesięć, dziewięć zrosniętych nitkami w rurkę otacza słupek, niby pokrowcem, dziesiąty sterczy osobno.

A teraz spojrzycie na kwiat grochodrzewu czyli akacyi, a wnet spostrzeżecie uderzające podobieństwo. Wszak to ten sam kwiat motylkowaty, pręciki w nim ułożone są także tak samo, a gdy płatki opadną, nasiona akacyi dojrzewają w długich strączkach, zupełnie tak, jak i ziarna grochu. Każdy też przyzna odrazu, że daleko bliższe zachodzić musi pokrewieństwo pomiędzy drzewem akacyi i niepozornym groszkiem polnym, aniżeli pomiędzy groszkiem a makiem, lub pomiędzy akacją a brzozą.

Nawet i w liściach jest wielkie podobieństwo. Tak drzewo akacyi, jak i niepozorne ziele grochu, ma liście pierzaste, to jest liczne listeczki osadzone na wspólnym ogonku.

I otóż znów macie drugą rodzinę roślinną łatwą do rozpoznania po kwiatach motylkowatych, po nasionach strąkowych, ztąd nawet otrzymała nazwę rodziny motylkowatych lub strąkowych, *Papilionaceae vel Leguminosae*. Ale i o tej opowiadaliśmy dawniej obszernie, więc tu tych wszystkich szczegółów powtarzać nie możemy.

Nielatwa to rzecz klasyfikować rośliny, rozpoznawać do której rodziny należą, oznaczać nazwy ich naukowe; niepodobna tej umiejętności wyłożyć w krótkiej pogadance. Dla młodzieży, lubiącej botanikę, zebraliśmy dużo wiadomości ciekawych i pożytecznych w książce pod tytułem „Obraz świata roślinnego” która dla prenumeratorów naszego Pisma sprzedaje się po cenie niższej w księgarni pp. Gebethnera i Wolffa. Jest tam przy końcu spis roślin najpospolitszych w naszym kraju, ułożony według systematu Linneusza, a także klucz, ułatwiający rozpoznawanie rodzin roślinnych. Polecamy tę książkę wszystkim czytelnikom, którzy chcą dokładniej się zapoznać z nauką botaniki, i zamierzają latem zbierać i klasyfikować rośliny w zielnikach.

M. J. Z.

Tak upłynęło lat kilka. Pan mój odwiedzał mię czasami, a te odwiedziny bywały oczywiście wielkiem dla mnie świętem. Byłem już spory chłopak, gdy pan mój przyszedłszy raz tak powiedział:

— Mój Waciu, nie możesz dłużej być w tej ochronie, bo trzeba pomyśleć o zabezpieczeniu nadal twego losu. Musisz pójść do jakiego terminu, aby wyjść z czasem przy pracy na uczciwego rzemieślnika. Ja będę płacił za ciebie w terminie.

Upadłem mu do nóg i powiedziałem tak, jak umyśliłem sobie oddawna:

— Zrobię wszystko, co pan każe, i do terminu pójdę, gdzie pan każe, ale czyby to nie mogło być inaczej?

— A jakżebyś ty chciał, aby było? — zapytał.

— A to chciałbym, żeby mię pan wziął do siebie na służącego, abym się już nigdy z panem nie rozstawał. Będę przecież codziem większym i lepszym, a zobaczy pan, że i teraz usłużyć potrafię. A gdy będę miał czas wolny od służby, to będę się dalej uczył sam tak na książkach, jak się teraz uczę, a może pan mi też czasem co na książce objaśni, jak już pan i tu zrobił. I będę tak u pana całe życie, a jak się pan ożeni i będzie miał dzieci, to będę ich pilnował, aby się żadne nie zabłąkało na świecie. Czytałem w książkach o dawnych starych sługach, którzy całe życie u swoich ukochanych panów służyli, więc i ja chciałbym być takim sługą u pana, skoro ojca ani matki znać nie mogę.

Mój pan pomyślał trochę i przystał na moję prośbę. Zostałem służącym u pana doktora. Miał on przecież gospodynią i inną służbę, a mnie wyznaczył dokładnie, co mam robić w jego pokoju: jak co czyścić, i w porządku utrzymywać różne narzędzia. Niezadługo przyszedł do nas jakiś uczeń z klas, a mój pan powiedział do mnie:

— Oto ten pan będzie przychodził uczyć cię, gdy mnie w domu niema.

Uczeń był ubogi, zrozumiałem też odrazu, że mój pan dwie pieczenie przy jednym ogniu piecze; mnie daje naukę, a uczniowi zarobek. Raz mój pan powiedział do mnie:

— Słuchaj, Waciu, ja mam pewne zamiary względem ciebie i dla tego wziąłem cię na służącego. Oto trzeba ci wiedzieć, że jako doktor mam sposobność przypatrywania się różnym ludziom na świecie. Dojrzałem tedy jedną biedę, na którą chciałbym znaleźć radę za twoją pomocą. Widzę, że bardzo wielu chorych nawet we własnych swych domach nie mają opieki właściwej, umiejętnej. Mojém zdaniem trzeba by koniecznie utworzyć stowarzyszenie, niby bractwo, którego członkowie, tak mężczyźni jak kobiety, udawaliby się na wezwanie do pielęgnowania chorych, potrzebujących tego. Nie mogąc urządzić takiego bractwa tak, jakbym pragnął, chcę przynajmniej zacząć je urządzić tak, jak mogę, a ty będziesz jego pierwszym członkiem. Gdy będę miał chorego, potrzebującego koniecznie opieki, o jakiej mówię, pošlę cię do niego. Będziesz w ten sposób pomocą dla mnie, bo najzbawieniejsze przepisy lekarskie na nic się nie przydadzą, gdy niema komu ich roztropnie wypełniać. Aby cię usposobić do takich obowiązków, masz oto tu książkę o pielęgnowaniu chorych, czytaj ją.

Czytałem, a pan mój rozmawiał ze mną o tém, co czytałem a potem inne dawał mi książki i po prostu zaczął mię uczyć medycyny w pewnym jej zakresie, możliwym bez specjalnych studyów. Niezadługo poczał mnie też posyłać do chorych, potrzebujących opieki, tak jak mi to zapowiedział.

Lata biegły tymczasem, a ja powoli coraz lepiej poznawałem mego pana. Był to człowiek jeszcze wcale młody, którego wszyscy ludzie z jego sfery towarzyskiej uważali za dziwaka, dając mu nazwę mizantropa, czyli odludka, gdy on tymczasem skrycie był dobroczyńcą ludzkości, o ile mu tylko środki jego na to pozwalały, ale to tak skrycie, jakby się tego

wstydzili. Owo używanie mię na posługę chorych, których on sam leczył, wchodząc przycem w ich różne potrzeby, było właśnie jednym z jego sposobów czynienia dobrze potajemnie. A miał też sporo różnych innych ku temu sposobów, o których ja powoli z czasem dowiadywałem się, a raczej domyślałem się tylko, żyjąc pod jego opieką. Wyprawiały się nawet czasem różne figle, do których po części i ja bywałem wtajemniczany w razie potrzeby, gdy już zasłużyłem na zaufanie.

Nigdy nie zapomnę, jak mój pan pękał ze śmiechu, a ja mu pomagałem, gdy komornik przyszedł zajmować mu sprzęty z powodu, że pan mój poręczył za pewnego biedaka, który zbankrutował. Pan mój na razie nie miał pieniędzy, żądał małej zwłoki, komornik nie chciał słuchać, pan mój uniósł się i wypchnął komornika za drzwi: zrobiła się wrzawa, komornik groził, awanturował się. A był to tenże

komornik bezwiednie względem niego dokonywał, i własna gwałtowność nareszcie, gdy zapomniawszy się, wypchnął go za drzwi, więc śmiał się do łez, a ja mu chcąc nie chcąc wtórowałem. Takie komedyjki często wyprawiały się koło mojego pana, a on wtedy wielce bywał podobny do swawolnika ucznia, który wyrwawszy się z pod nadzoru, figle wyprawia pokryjomu.

— Słuchaj, Wacek! — rzecze raz mój pan, wróciwszy właśnie do domu — tamten chudy literat, przy którym teraz siadujesz, już sobie da radę jako tako bez ciebie, bo mu się łapa zrosła, to porzuć go, a idź teraz zaraz na całą noc według tego ot adresu, na czwarte piętro Nr. 15 mieszkania, do chorego studenta, bo żywej duszy tam przy nim niema, a boję się o mózg, którego nierozważny chłopak nadużył podobno.

Mój pan dał mi potrzebne objaśnienia, przykazał, abym wstrzymywał chorego od wysilania się nauką, której mimo



W małej izdebce na strychu...

sam człowiek, któremu pan mój leczył od roku chorego syna. Oczywiście darmo, bo choroba ta przyprowadzała komornika do nędzy. Ja pielegnowałem tego chłopca, a wszystkie lekarstwa szły od mojego pana. Ale ponieważ pan mój jako mizantrop utrzymywał, że dosyć jest ludziom dobrodziejstwo wyświadczyć, aby z nich mieć nieprzyjaciół, przeto bywał u tego chorego tak, jak i u innych podobnych, przebrany, w siwej peruce i z siwą brodą. Był to jego zwykły wybieg z ubogimi; udawał przed nimi pokątnego znachora, owczarza niby, któremu leczyć nie wolno i nazywał się panem Jaśkiem. Otóż ten sam komornik, który taką chryję z nim wyprawiał, nie poznawszy go przy zajęciu ruchomości, przeciw tegoż samego dnia wieczorem, tak samo, jak i poprzedniego, padał przed nim na kolana przy łóżku chłopca swego, powstającego już z choroby, wzywając na głowę pana Jaśka wszystkie błogosławieństwa, jakie wypowiedzieć się dadzą. A nazajutrz przyszedł znów do nas z wyrokiem sądowym, grożąc temu, przed którym dopiero co kłęczał i błogosławił go. Mój pan dostał już pieniędzy i sprawę załatwił, ale tak go to wszystko bawiło, i to, że poznany nie został i te zmiany frontu, jakich

choroby przerwać nie chce z chorobliwym już uporem, i zabrawszy po drodze lekarstwa i lód z apteki, wedle recepty mego pana, pobiegłem coprędzej do chorego studenta.

W małej izdebce na strychu, na łóżku z nieheblowanymi deskami zbitym i słomą zasłanym, z materacem słomianym zamiast poduszki pod głowę, leżał piękny młody człowiek, pałający gorączką, z roztarganą na piersiach bielizną, ponieważ piersiom tym brakło snuć tchu i powietrza. Mimo to przy nim na stoliku leżał zeszyt wpół zapisany, stał atrament z piórem, leżała książka przy lampie. Zresztą prócz książek na półce, jednego niezbędego garnituru odzienia na kołku, pary wysłużonych butów przed łóżkiem, i jednego krzesła, nie było nic więcej w nędznej tej izbie.

Poskoczyłem nasamprzód do sąsiadów prosić o pożyczkę konewki, przyniosłem wody ze studni, gdyż mi była konieczna dla chorego potrzebna. Dałem mu natychmiast przyniesione lekarstwa, zawiadamiając, kto mnie przysłał, gdyż mój pan uprzedził go o mojem przybyciu. Chory zrywał się pisać, chwycił książkę, ale ani jęj, ani pióra utrzymać nie mógł, był zaledwo na pół przytomny. Zacząłem do

niego przemawiać w sposób łagodny, którego wyuczył mnie pan mój, utrzymując, że stosowne przemawianie wpływa nawet na zupełnie nieprzytomnych chorych. Przekonywałem go, że jeżeli da zupełny spoczynek umysłowi, to choroba mnie prędzej, będzie mógł wrócić do przerwanych nauk i zdać tego roku egzamin. Wymieniłem też nazwiska kilku studentów, którym istotnie w minionych latach zdarzyło się coś podobnego.

Powoli dał się przekonać czy też namówić, bo chorzy mają w swych wyobrażeniach i zwyczajach wiele podobieństwa do dzieci. Pozwolił mi usunąć książkę i przybory piśmienne, o co mi właśnie chodziło, gdyż sam ich widok drażnił go w taki sposób, jak ukłócie ostrogi młodego rumaka, podniecając go do pracy. Po kilku chwilach, gdy przyborów owych nie widział, a lekarstwa i okłady działać zaczęły, zdrzemał nareszcie. Ja, przywykły do takiego czuwania, siedziałem przy łóżku na krześle, pozwalając sobie także drzemać, gdy chory drzemał, i budząc się za jego najmniejszym poruszeniem i dla dawania lekarstwa i zmieniania okładów. Sen taki jest rzeczą wprawdy, jak wiele innych rzeczy na świecie. Noc przeszła na takich zajęciach i jasne promienie słońca wpadły, oślaczając nędzną ale widną izdebkę, gdyż okno, na wysokim dachu umieszczone, dawało łatwy przystęp światłu.

Przy tém oświetleniu też dopiero spostrzegłem jeszcze jeden przedmiot, którego nie widziałem wprzód, należący do ozdoby téj ubogiej izdebki. Był to mały obrazek w alabastrowych ramkach, zawieszony nad łóżkiem. Spojrzawszy przypadkiem na tę drobnostkę, patrzyłem na nią, patrzyłem, i nie mogłem oczu oderwać; dla czego?... napróżno sam siebie o to pytałem. W obrazku nie było nic nadzwyczajnego, ale mnie on pociągał tak, jak czasem pociąga nam oczy twarz, choćby nie piękna, ale przypominająca coś lub kogoś, co nam drogiem było.

— Co to jest? Czy to czary jakie? — pomyślałem, odwracając oczy od obrazka, ale po chwili spostrzegłem się, że znowu na niego patrzę. Wtém chory poruszył się, i obsługa koło niego oderwała mnie od owego czaru.

Mój pan przyszedł wkrótce i uznał, że z chorym ciągle jest źle, nic stanowczego jeszcze nie można o nim powiedzieć. Był on w gorączce, ale mimo to zrozumiał cośkolwiek z naszej krótkiej rozmowy i zaczął krzyczeć, szamocąc się z własną niemocą:

— Ciężko chory? długo? nie chcę szpitala, bo rozgłosiłoby się, że chory i ojciec życiemby przypłacił zgryzotę o mnie! Pozwólcie mi umrzeć tutaj i nie narażajcie ojca mego na koszt, bo on nie jest w stanie opłacać kuracji!

W ten sposób, tylko bardziej bezładnie, jęczał chory, i bredził od rzeczy, ale zawsze ogólna treść jego bredzeń była ta, że lękał się, aby wieść o jego chorobie nie doszła do ojca, przez co tenże byłby narażony na koszt. Nieprzytomnemu zdawało się, że kosztów nie będzie, gdy doktor i ja pójdziemy sobie od niego i pozwolimy mu umrzeć: odpędzał nas, zakazując za pałającymi oczyma, abyśmy nic nie powiadali ojcu, bo nieszczęśliwy ten człowiek miał już i tak dosyć zgryzoty z jego winy i jego nieposłuszeństwa. Mój pan pokiwiał głową i rzekł:

— I ojciec musi być zacy, i chłopak jest podobno uczciwy, a mimo to coś zaszło niedobrego między nimi, i przez to są obaj teraz nieszczęśliwi. Tak to bywa między ludźmi. A otóż prawdziwą miałbym przyjemność, gdybym wszystkich takich ludzi mógł z sobą pogodzić na całym świecie, i powrócić im spokój. Tutaj nic podobno nie poradzę, bo pomiędzy ojca i syna trudno przecież obcym się wdzierać. A ty wiesz już, że gorączkowych bredzeń chorego nie należy pilnującemu pamiętać, raz dla tego, że są to najczęściej brednie, a powtóre, że mogą to czasami być jakieś mimowiedne a prawdziwe okrzyki duszy, nieprzeznaczone dla naszych uszu, a więc wśluchywać się w nie byłoby brzydkim nadużyciem. Jednakże, gdybyś widział, że ten chory chce ci się zwierzyć, wtedy słuchaj, co ci powie i pamiętaj, gdyż może on ma na sumieniu jaki ciężar, któremu moglibyśmy ulżyć, spełniając pragnienie chorego.

Tak mówił mój pan, poczem, dawszy mi szczegółowe rozkazy co do obejścia się z chorym, pobiegł do innych, wdychając ciężko, że mnie tylko jednego ma do pomocy w swoim zawodzie. Jego myśl stała, owo bractwo opieki dla chorych, nie postępowało wcale, a ja ciągle byłem pierwszym i jedynym jego członkiem. Mimo tego niepowodzenia, pan mój zajmował się ciągle tą myślą, i rozwijał ją przedemną w rzadkich chwilach swobodnego spoczynku.

Pielegnowałem młodego pacjenta wedle rozkazów mego pana, i po kilku dniach choroba przesiliła się na lepsze, a po kilku następnych rozprawialiśmy najzupełniej zaprzyjaźnieni, jakkolwiek chory ruszać się jeszcze nie mógł. Opowiedział mi wtedy po krótko życie swoje, tłómacząc owe gorączkowe brednie, które na jego rozkaz powtarzałem. Był to syn wyższego kolejowego urzędnika, który sam całe życie będzie cierpiąc, pragnął koniecznie mieć najstarszego syna lekarzem, uważając zawód ten za najpewniejszy pod względem ustalenia bytu. Tymczasem chłopiec upodobał sobie matematykę od lat najmłodszych i nie mógł przemódz się ku wstrętnym dla siebie studjom, jakie mu nakazywano. (d. c. n.)

DO KUKUŁKI.

ukuleczko moja siwa,
Gdzie ty lecisz, gdzie?
Kiedy burza dąb wyrwa,
Olch konary gnie!
Nie lecieć wam drobne ptaszki
Z gniazda w słotny czas,
O! bo wicher dla igraszki,
Może unieść was.
Ponad obłok unieść błądy,
Kędy wieje chłód;
Kędy srogie wichry, grady,
Krew wam zetną w łód.
Niech się orzeł bije z chmurą,
Może walczyć on;
Bo ma w skrzydle lotne pióro,
Bo ma krwawy szpon.
Ty, kukułko, na kalinie,
W cichém gniazdku siedź;

A gdy burza i grom minie,
W jasne niebo leć.
Tak ostrzegał orzeł stary,
Trzepiąc roś z piór;
Lecz ptaszyna, pełna wiary,
Porze tuman chmur.
I niebaczna w górę leci,
Nie lęka się fal;
Ani gromu, ni zamieci:
Tylko pędzi w dal!
* * *
Słonko błysło, znow w dolinie
Wonny powiew tchnie,
Ale w gniazdku, na kalinie,
Nie masz ptaszki, nie.
Tylko wietrzyk, krążąc kołem,
Igrał z resztą chmur,
I porzucił przed sokołem
Kilka siwych piór!

Seweryna Duchńska.



Figielek pana pułkownika.

(WSPOMNIENIE Z MOICH LAT DZIECINNYCH).

Między gośćmi, często odwiedzającymi dom moich rodziców, był pan pułkownik J. Dla nas była to największa radość, gdyśmy go ujrzeli wchodzącego, bo pułkownik nadzwyczaj lubił dzieci, był bardzo wesoły. Niepodobna byłoby opisać wszystkich jego figielków, jakie nam płatał, godzinami całemi bawił się z nami, a w dodatku, przynosił zawsze ogromne paki cukrów, karmelków, i różnych ulubionych przez dzieci łakoci.

Pułkownik miał powierzchowność nadzwyczaj sympatyczną, pamiętam jego duże niebieskie oczy z nader łagodnym wyrazem, i ogromne wąsy, na których chciał nas niby czasami za karę wiązać. Miał p. pułkownik wielkiego psa białego bez najmniejszej odmiany, który na czarnym nosie miał białą plamkę. Pies ten nazywał się Neptun. Najmłodsza moja siostrzyczka Zenobia, a raczój Bibia, jak się sama nazywała, bo nie umiała jeszcze dobrze mówić, kochała bardzo pana pułkownika, którego nazywała „Konik” z czego tenże śmiał się serdecznie. Ulubieńcem również Bibi był pies ów biały, którego znów po swojemu przezwała „Nieten”.

Dnia jednego przysły do mnie trzy koleżanki z pensyi, Ludka, Zosia i Terenia. Siedziałyśmy właśnie bardzo spokojnie przy stole, oglądając dużą książkę z pięknymi kolorowanymi rycinami, gdy nad pochylonemi naszymi głowami ozwał się nagle głos dobrze nam znany:

— A co tam tak ciekawego?

— Ach! pan pułkownik — zawołałyśmy radośnie — że też myśmy nic nie słyszały, jak pan przyszedł. Ale jak to można tak kogo przestraszać?

— A więc przepraszam — i to mówiąc pan pułkownik położył dużą paczkę na stole.

Jako domowa, a zatem najśmielsza, odwinęłam papier i uśmiechnęłyśmy się do ślicznych cukrów owocowych, które się ukazały naszym oczom. Mateczka, jak zwykle, zgromiła pułkownika za zbytki, on przyrzekł, że to już raz ostatni, usiadł przy nas, i zaczęła się bardzo wesoła i miła gawędka. Książka otwarta na rycinie, przedstawiającej ogromnego kangura, zwróciła uwagę pułkownika, przysunął ją przed siebie i rzekł:

— Widziałem te zwierzęta żywe, a nawet polowałem na nie dosyć często.

— Niech nam to pan pułkownik opowie — prosiłyśmy wszystkie.

— Ba, ba, strasznie to długa historia, i trzeba to na inny raz zostawić; powiem wam tylko, że pewnego dnia spotkałem bardzo blisko dwa kangury, zacząłem ruszać wąsami, a samica tak się przeleknęła, że padła nieżywa na ziemię.

— Och, pan pułkownik znów żartuje — rzekła Terenia — ale zawsze ciekawa to historyjka być musi.

— To być bardzo może — odezwała się Ludka — gdyż zwierzęta są bardzo łekliwe.

Ludka lubiła bardzo popisywać się przy każdej sposobności ze swemi wiadomościami, była zarozumiała, i miała to przekonanie, że jest o wiele mądrzejszą od wszystkich swoich koleżanek. Nie bardzo panienki na pensyi lubiły ją, miała dużo niechętnych, ale nic ją to nie obchodziło, i przy lada okazji, starała się okazać swą wyższość.

— Pewnie jednak od widoku wąsów nie zdychają nagle — poparła Terenię Zosia.

— Ale przecież tam wąsy nie były same — podchwyciłam wesoło — bo gdy były wąsy, to był i pan pułkownik.

Wszyscy w śmiech, a Ludka, czując się obrażoną, rzekła z kwaśną miną:

— Śmiejecie się same nie wiecie z czego, gdybyście miały więcej nauki, wiedziałybyście, że kangury nie należą do zwierząt odważnych.

— Może z czasem zdobędziemy i my tyle nauki, ile ty jej posiadasz — rzekła Zosia — daruj nam więc dzisiaj naszą nieświadomość.

Terenia mrugnęła na przyjaciółkę, i Zosia zawstydzona się trochę swęj popędliwości, a pułkownik, przerzucając książkę, zapytał od niechcenia.

— A czy też tu jest pies zielony?

— Pies zielony? — powtórzyłyśmy razem.

— Tak, pies zielony — mówił pułkownik obojętnie — jest to gatunek świeżo odkryty przez pewnego podróżującego profesora zoologii. Jakto? panienki nic o tém nie słyszały?

Spojrzałyśmy po sobie pytająco, jedna i druga wzruszyła ramionami na znak, że żadna o zielonym psie nie słyszała.

Pułkownik poprawił się na krześle, a zwracając się głownie do Ludki, mówił:

— Znajduje on się w Ameryce, na wyspach Rozbójniczych...

— O, przepraszam pana pułkownika — odezwała się przerywając — przecież to nie w Ameryce...

— Ale dajże pokój — odezwała się Ludka, nie dając mi dokończyć — nie przeszkadzaj opowiadać panu pułkownikowi.

Umilkłam, zdawało mi się to dowodem gościnności, aby się nigdy z gośćmi nie sprzeczać.

Pułkownik mówił dalej:

— Otóż na tych wyspach znaleziono psa jasno-zielonego, z żółtymi uszami i różowymi do kolan nogami. Dziwi mnie to, że panienki nic o tém jeszcze nie wiedzą, bo nawet w gazetach te psy opisywali.

— My gazet nie czytamy — wtrąciła Zosia.

— Dobrze, że zdążę lekcyi się nauczyć — rzekła pokornie Terenia — a jeszcze miałabym czytać gazety.

Ja czytywałam je wprawdzie niekiedy, ale tylko korespondencye z Krakowa i Rzymu, były to jedyne miasta, do których myśl moja z upodobaniem dążyła. Ale że w korespondencyach tych nie było wzmianki o psie zielonym, siedziałam więc cicho, nie odzywając się.

Ludka badawczo spoglądała na pułkownika, ale ten miał bardzo poważną minę, jakby mówił o rzeczach zupełnie pewnych. Dziewczynka obejrzała się na nas, a widząc nas pokornie miłczące, chciała widocznie pokazać nam swą wyższość, bo rzekła:

— Ach, prawda, istotnie czytałam to, tylko w pierwszej chwili zapomniałam o tém.

— Ej, Ludko, czy się aby nie mylisz — szepnęła Terenia ostrzegająco.

— Wcale nie, już jak ja co wiem, to wiem dobrze i nie mylę się nigdy — odrzekła z wyniosłością.

Zdawało mi się, że pułkownik uśmiechnął się trochę pod wąsem, ale mówił dalej:

— Pies ten jest wielkości naszych wyżłów, jeżeli się nie mylę, czy tak, panno Ludko?

— A... tak, zdaje mi się — odpowiedziała.

— Zosia potrząsnęła głową i rzekła stanowczo:

— Przepraszam pana pułkownika, ale nic a nic temu nie wierzę, to być nie może.

Ośmielone odezwaniem się Zosi, i ja i Terenia zaprzeczyłyśmy istnieniu dziwnego psa zielonego. Ale Ludka z taką pewnością podtrzymywała to, co pułkownik mówił, że nie dała nam przyjść do słowa.

— A jak się te psy nazywają? — zapytała Zosia Ludki z uśmiechem zwycięstwa. Ludka spojrzała błagająco na pułkownika a ten odpowiedział spokojnie:

— Werglodunkenkejty.

— A profesor podróżnik? — pytała znów dalej Ludka.

I tym razem pułkownik odpowiedział błagającemu spojrzeniu, zwróconemu ku sobie, bo rzekł:

— Archiminiklereofomairepetynkiewicz.

Rozśmiałyśmy się serdecznie, i pułkownik musiał nam poddyktować szczególne nazwisko uczonego profesora.

— Ludko, powtórz to nazwisko z pamięci, musiałaś się go bowiem nauczyć, wyczytawszy w gazetach — mówiła Zosia, pragnąca dziś widocznie upokorzyć zarozumiałą dziewczynkę.

WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRZYGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Puszczając się w drogę, Nilka szła żwawo, wkrótce jednak nagła bladłość zdradziła, że dziewczyna cierpi okrutnie. Ojciec Anzelm i Tomasz ujeli ją więc pod ramiona, pomagając iść, ale i to nie pomogło. Dziewczyna, nie mogąc podążać za mułami, puściła w końcu podtrzymujące ją ręce przyjaciół i osunęła się na ziemię.

— Tak bardzo cierpisz? — pytano.

— Bardzo, ale tylko kiedy idę.

— Ależ ty okrutnie musisz cierpieć, ty płaczesz podobno!

— Córka wielkiego wodza nie umie płakać dla nędznego bólu! Jeżeli ja płaczę, to tylko dla tego, iż miałam nadzieję ujrzeć jeszcze namiot mego ojca, a teraz widzę, że musicie mię opuścić.

— Opuścić cię! — zawołał misionarz — uspokój się, moje dziecko; mój Bóg, ten, którego chciałbym abyś i ty poznała, nie przebaczyłby nam nigdy, żebyśmy cię opuścili, gdyż byłoby to okrucieństwo!

Ojciec Anzelm i Paweł namyślali się, jakby dostać się z Nilką nad brzeg rzeki Kanadyjskiej, gdzie już możnaby spocząć, aż dopóki dziewczyna nie wyzdrowieje. Tymczasem Karol przystąpił do niej, prosząc, aby się podniosła, a gdy wstała, mały, ale silny Paryżanin wziął ją na ręce tak, jak Tomasz jego samego niedawno, i poszedł śmiało dalej. Szedł czas niejaki, ale nareszcie musiał spocząć. Tomasz wyręczył go wtedy. Patrząc na ich wysilenia, Minno i Wampa spuścili nareszcie z wysokiego tonu swej dumy i ofiarowali także swoje usługi. Mordowano się tak przez czas niejaki, ale nakoniec trzeba się było wyrzec tego środka. Zatrzymano się. Karol wykręcił nabój ze strzelby, Tomasza prosił, aby czynił toż samo, wytłómaczył mu myśl swoją, i wkrótce unieśli Nilkę, siedzącą na dwóch strzelbach, które oni trzymali za końce. Ale różnica wzrostu była im wcale niedogodną na ten raz. Tomasz musiał się zgiąć we dwoje, aby się zrównać z Karolem, a gdy się tamten wyprostował, to cały ciężar dziewczyny przeważał znów na stronę Karola. Zatem poważny Minno zajął miejsce Karola, a ten, wedle własnego wyrażenia, później „na przepięgu zaprzął się” z Wampą. Paweł, nie mogąc jeszcze nadużywać ręki, pilnował tylko mułów.

Po czterech godzinach takiej wędrówki, podróżni zakłopotali się, spostrzegłszy, jak mało drogi uszli: zwłoki żubra jeszcze ciągle widać było w oddali na równinie, znajdowano się więc dotąd na drodze, którą stado mogło powracać, co groziło nowym niebezpieczeństwem. Dobyto ostatnich sił i wreszcie przed samą nocą żubr nieszczęsny znikł im przeciw z oczu. Spoczęli wtedy, wszyscy upadali z utrudzenia, a na posiłek mieli tylko po odrobinie suchara i kropelce ciepłej wody, a i tej mała już pozostawała resztką.

Nazajutrz zbolale ręce niosących dziewczynę czyniły pochód jeszcze trudniejszym. Szli ciągle na północ, domyślając się, że nieszczęściem musieli znowu natrafić na jakiś gwałtowny i rozległy zakręt rzeki, i dla tego dostać się do niej nie mogli. Cóż należało czynić? wracać byłoby szaleństwem, a zmieniać kierunek najwyższą nieroztropnością. Rzeka Kanadyjska płynęła sobie może nie dalej, jak o jedną milę na prawo lub na lewo, ale jakże to było zgadnąć? Rozsądek zatem nakazywał, aby się trzymać pierwszego kierunku. Tymczasem przedłużona podróż groziła co godzina większym niebezpieczeństwem. Muły nie piły od onegdaj, i nie było już nawet tyle wody, aby im pyski odświeżyć.

W południe, gdy zmęczeni dźwiganiem spoczywali, Paweł wypróżniał paki swoje, potem w dwie z nich włożył najkonieczniejsze rzeczy, amunicję i żywność, wreszcie każdy nabrał także prochu i kul ile mógł, i zapas żywności przywiązał sobie na plecach. Włożono te dwie paki na jednego muła, na drugiego wsadzono Nilkę, resztę zapasów porzucono, co wi-

dząc, i zrozumiałwszy nareszcie te przygotowania, dziewczyna rozplakała się ze wzruszenia, mówiąc:

— Wasz Wielki Duch nie zna Nilki a jednak zesłał was na jej ratunek, czyliż nie przyjdzie on teraz i wam w pomoc?

— Wielki Duch zna i ciebie, moje dziecko, kocha on Komanczów zarówno, jak białych — odpowiedział ojciec Anzelm, i dodał, kładąc rękę na ramieniu Pawła:

— Jesteś szlachetnym człowiekiem, nie śmiałem nawet wspominać ci, abyś uczynił to, co sam teraz uczyniłeś. Bóg czasem i na tym świecie za dobre uczynki wynagradza; przyjacielu mój, Bóg pozwoli ci może znaleźć rzekę złotą.

Wędrowcy szli tak dalej aż do późnej nocy. O zachodzącym słońcu, Paweł bacznie przez lunetę obejrzał najdalsze krańce widnokregu, nie widać było nic prócz głuchej pustyni. Trwoga ogarnęła wszystkich, głębokie milczenie zapanowało pośród gromadki.

XI.

Pragnienie.

O wschodzie wędrowcy udali się w dalszą drogę, odświeżywszy tylko usta wodą i napróżno usiłując przełknąć po kawałku suchara. Upał wzmógł wkrótce pragnienie. Jeden Karol odbywał się jeszcze czasami wśród milczących towarzyszy. Paryżanin zauważył, że jakkolwiek pustynia zdaje się z razu ciekawą, to jednak jest ona jednostajną bardziej jeszcze, niż bory iglaste. Znajdował, że nudno jest patrzeć ciągle na trawę, gdzie niema nawet pasących się zwierząt i na niebo, bez bujających pod niemi ptaków; a najnudniejszym jest towarzystwo nieuniknione jedynych żywych stworzeń w pustyni, owadów, klujących ciało bezustannie, aż do poranienia. Zapewniał, że wolałby już znajome mu dawniej pospolite muchy, albo chrabąszcze.

Strach tymczasem ogarniał coraz straszliwiej serca w obec jednostajnego widoku bezmiernych stepów. Czyliżby zamiast posuwać się naprzód, opisywali tylko błędne koło w tej podróży, jak to zdarzało się tyłu myśliwym, tak w lasach, jak i na łąkach Nowego Świata? Ależ Minno, Tomasz i Wampa byli na to zbyt doświadczeni. Niechybnie zagłębiali się tylko w jakiś potwornie wielki zakręt rzeki, której wybrzeżem kierować się mieli. Raz jeszcze zapadła noc ponad pustynią, nigdy może nietkniętą stopą ludzką.

Śmiertelny spokój pustyni, ożywiany we dnie pochodem podróżnych, spadał na nich kamieniem w czasie nocnej nieruchomości. Doznawał tego szczególnie Karol. Gdy musiał czuć z kolei, sam nie wiedział, co się z nim dzieje i dziwił się sobie. Przerazało go milczenie bezdenne, a jeżeli muł lub człowiek odezwał się, lub poruszył, Paryżanin podskakiwał w górę z przerażenia, jakby piorun uderzył.

— To dziwne — mówił sam do siebie — zdaje mi się konieczne, że ziemia zamarła i wszystko na niej, tylko ja się ruszam a mniejszy jeszcze jestem, niż zwykle. Czyliżby pustynia czyniła człowieka mniejszym? a Boga jeszcze większym?

Sen odleciał Paryżanina; pozwolił też spać towarzyszom do świtu. O brzasku uczył niby pewną ulgę i znowu jeszcze większy ucisk, na widok pustyni bezbrzeżnej. Żaden głos nie powitał wschodzącego słońca. W lasach górskich na Sugar-Loaf, krzyk orła, głos synogarlicy, mruk wiewiórki, odzywały się na powitanie słońca. Na łąkach wita je tylko milczenie. Najgłębsza cisza morska ma jeszcze cień życia. Step w zimie zdają się całunem nakryte, biały, czy zielony całun, to już wszystko jedno.

Jeszcze przez dzień jeden szli wędrowcy, milcząc, zatrzymując się często dla schwycenia tchu. Zasnęli z trudnością, a przy obudzeniu ujrzeli ojca Anzelma, z pomocą Wampy rozścielającego biały obrus na poustawianych pakach, a potem złożono na tym zaimprovizowanym ołtarzu księgę, kie-lich i dwie kryształowe ampułki... Śmierć była prawie nieuchronną, wszyscy o tém wiedzieli: misionarz chciał nietylko mszę odprawić, ale i ochrzcić Nilkę. Wytłómaczył dziewczyn-

nie znaczenie obrzędu i spytał jęj, czy chce uznać jedyne go Boga, tego, który rozkazał im nie opuszczać jęj w nieszczęściu? Odpowiedziała twierdząco i ojciec Anzelm dopełnił uroczystego obrzędu. Nieszczęśliwi umierający otoczyli ołtarz na kłęczkach. Był to widok, na którego opisanie niema wyrazów. Przemawiając o ojczyźnie niebieskiej, w której wszyscy mieli się spotkać wkrótce, ojciec Anzelm zdawał się przemienionym w nadprzyrodzoną istotę. Łzy zwilżyły oczy Pawła na myśl o braciach i siostrach, którzy nie ujrzą go nigdy i nie będą wiedzieć, że zginął, chcąc ochronić ich od nędzy. Tomasz i Minno patrzyli w niebo, gotując się na śmierć poważnie, Wampa modlił się żarliwie. Nawet trzpiot Paryżanin modlił się serdecznie: na progu wieczności każdy zwraca się do Boga.

Ojciec Anzelm ostatnią kroplę wody, którą mógł był zwilżyć własne usta, wylał na głowę chrześcijanki, kłęczącej ze złożonymi rękami, jak małe dziecko. Po obrzędzie spełnionym, udano się w dalszą drogę, postępowano coraz wolniej, coraz bezsilniej, pod płomienistemi promieniami słońca; wszystkie usta krwawiły się, języki wyschłe nie mogły się poruszać. W godzinę później muł, niosący skrzynie, zachwiał się, jęknął chrapliwie i padł nieżywy. Otoczono nieszczęsne zwierzę; każdy podnosił mu głowę i puszczał ją po chwili, zdjawszy ciężary przedewszystkiem. Było to już napróżno. Życie go opuściło. Podróżnicy spojrzeli sobie wzajem w oczy w milczeniu. Nilka zsunęła się ze swego muła.

— Zostań! musimy iść dalej! — rzekł Paweł i zmusił ją, aby pozostała na mule, zamiast przełożyć nań skrzynie; dziewczyna załala się łzami, całując jego ręce.

— Biedne dziecko — rzekł Paweł wzruszony tęp niemem podziękowaniem — sądziłaś, że ocalejesz, przyłączając się do nas, a oto...

Paweł nie dokończył słów tych, wziął za lejce muła, niosącego dziewczynę i poszedł naprzód, nie oglądając się, aby nie widzieć skrzyń, które pozostawił. Wszyscy poszli za nim. Szli tak jeszcze, ledwo się wlokąc, do nocy. Wtedy każdy rozciągnął się, rozgorączkowany, na wpół przytomny, trzymając w zakrwawionych ustach kawałek suchara, nie mogąc go przełknąć. Siedm dni już przebywano pustynią, od sześćdziesięciu godzin nie miano kropli wody w ustach. W chwilach większej przytomności, patrzano w niebo usiane gwiazdami, nikt nie wydał jęku ani skargi: były to silne dusze.

Wedle rachuby Tomasza, średnia przestrzeń, jaką przebywali zazwyczaj między dwoma spoczynkami, wynosiła sześć mil, a więc przebyli około czterdziestu mil, a stępy bywają rozległe na mil sto. Jednakże wędrowcy zawsze sądzili, że rzeka Kanadyjska była przed nimi; zaczęli przecieć tłómaczyć sobie, że źródło jęj musi być nie na zachodzie, wedle ogólnego mniemania, lecz na północy, jak źródła rzek Missuri i Mississipi. W takim razie, zamiast iść ku niej, oni ciągle szli równoległe do niej i mogli tak iść jeszcze bardzo długo. Było to wszakże przypuszczeniem tylko; nie myślano też zmieniać kierunku.

Obfita rosa w nocy zwilżyła trawę, co zdawało się zapowiadać bliskość rzeki. Za przykładem muła, liżącego ją chciwie, wędrowcy wysysali także trawę. W chwili dalszego udania się w pochód, muł, daleko żwawszy niż wczoraj, poszedł chętnie naprzód. Nilka zaczęła go podniecać, zamiast wstrzymywać i zwierzę szło coraz prędzej. Wędrowcy bezmyślnie na to patrzyli, dopiero wtedy któryś zawołał na nią, gdy dzika dziewczyna za daleko już była, aby mogły dolecieć do niej osłabione ich głosy. Zaczęli dawać znaki, sądząc, że odwró-

ci się i spojrzy, ale ona znikła coraz chżyżej; chcieli iść przedź... napróżno. Indyanka znikła. Wtedy oni zatrzymali się z dziwnym uczuciem, jakby z tą dziewczyną znikła ostatnia nadzieja i śmierć się już zbliżała.

— Czyliżby nas opuściła? — przemówił Karol.

— Nie — rzekł misjonarz — Nilka chce nas ocalić, na mule jest nasza wielka tykwa, ona przywiezie nam wody.

Przypuszczenie misjonarza było bardzo prawdopodobne. Przez godzinę jeszcze wędrowcy posuwali się naprzód, ale zaczęli się chwiać i zataczać, nie spuszczaając oka z okolicy w której zniknęła Nilka. Nikt ani pomyślał jednak o tym, co spotkać ją mogło, myślano tylko o wodzie, w tej strasznej godzinie każdy o ile mógł myśleć w ogóle, żałował, że sam nie wsiadł na muła, aby wyprzedzić innych. Ludzie tracili przytomność z nadmiaru cierpienia. Ale gdy godziny upływały, uczeni niewyraźnie, że Nilka mogła nic nie znaleźć, muł mógł paść w drodze, a ona w tej chwili ginie może z pragnienia w pustyni, oczekując na ich pomoc tak, jak oni od niej pomocy czekali...

(d. c. n.)

Łamigłówka głoskowa.

(Ofiarowana Celine i Toli Chomętowskim przez córkę Jadźwingów z Podlasia).

Pierwsze w Opolu a nawet w polu,
W duszy — w młodzieży — *drugie* i *trzecie*
W wyrazie *wieniec* resztę znajdziecie,
Wszystko — to lirnik, co z cnoty słynie,
Równie jak z pieśni w naszej krainie.

Łamigłówka odwrotna.

Znaleźć 6 wyrazów, które się nie zmieniają, gdy je odczytamy odwrotnie. Pierwsze i ostatnie ich głoski, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwę ozdobnego drzewa, po ogrodach u nas zasadzanego. Znaczenie wyrazów: 1. Strój kobiety. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Imię kilku świętych. 4. Kalendarstwo. 5. Bóstwo egipskie. 6. Państwo w Afryce. 7. Prorok izraelski.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Szarady:

Na — u — ka.

Łamigłówki w kwadraciku:

O	S	A
R	O	R
A	B	A

TREŚĆ: Pogadanka botaniczna (z drzew.) — Pamiętnik służącego (z drzew.) — Do kukułki, wiersz S. Duchyńskiej. — Figielek pana pułkownika. — Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Wiosna, wiersz (z drzew.) — Lasy, wiersz (z drzew.) — Dwa motylki. — Lekcja mateczki wiewióreczki. — Grymaśnica p. C. Falkowska. — Mała rzecz a duży wstyd p. Kazimierę. — Łamigłówki, rozwiązania, Odpowiedzi Redakcyi i Ogłoszenia.

Dodatek książkowy: Mały książę, powiastka historyczna przez mis Yonge przekład z angielskiego,

WIOSNA.

Ptaszki, kwiatki i motyle
Pędzą wiosną miłe chwile
Tak jak w życia wiosnie dziatki,
Pod opieką dobrej matki.

LASY.

Potężne lasy, gęstym liściem umajone,
Stanowią świata piękność i ludzi ochronę:
Kto je niszczy, ten sobie i współbraciom szkodzi,
A kto drzewko zasadzi, ten ludzi dobrodziej.



Wiosna.

DWA MOTYLKI.

Florcia i Lunia były to dwie siostrzyczki, ładne i grzeczne, i dobre, a takie żwawe, tak lekko i bezustannie biegające naokoło Mamy lub bony po polach i w ogrodzie, że wszyscy nazywali je motylkami. Bo motylki także w ciągłym bywają ruchu, ledwo że na chwilkę zatrzymując się przy róży lub innym kwiatku, a tak samo też właśnie Florcia i Lunia zastanawiały się przy kwiatkach, wypytując Mamę o ich nazwy i inne właściwości. Wtém raz na przechadzce spojrzysz Mama, a dziewczynki idą koło niej wolno i zaspione, z pospuszczanymi główkami:

— Co to jest? co się dzieciom stało, że takie smutne? — zapytała Mama.

— One już są takie osowiałe od rana i nie mogę się dopytać, co im się stało... — powie bona. Bona nie mogła się dopytać, ale Mama, popatrzawszy tylko, od razu bez pytania zgadła, co się stało: oto dziewczynki po raz pierwszy w życiu pogniewały się z sobą i ztąd pochodził ich dziwny smutek, ale to taki ciężki smutek, że aż łzy miały w oczach, a nie patrzyły na siebie, bo nie wiedziały, jak się tu pogodzić. Wtém spojrzysz Mama, a tu dwa motylki tuż nad dziewczynkami lecą w powietrzu, więc zawołała Mama:

— Patrz, bono, jak te dwa motylki lecą do siebie, jakby uściskać się miały! to pewno są siostrzyczki. Jakież one są szczęśliwe...

Jeszcze Mama tych słów nie dokończyła, a już Florcia i Lunia uściskały się serdecznie, i odtąd nie gniewały się już nigdy w życiu z sobą, tak pozazdrościły szczęścia motylkom, bo kto się gniewa, ten szczęśliwym być nie może.

M. Krz.

Lekcja matusi wiewiórki.

W ciepłe, ciche popołudnie wiosenne, w lesie, na bardzo wysokim drzewie, usiadła sobie zgrabna wiewióreczka, wyszedłszy ze swego mieszkania, aby świeżem odetchnąć powietrzem. Obejrzawszy się po świecie, widząc, że niema w pobliżu żadnego niebezpieczeństwa, i że słońce już zaszło, zawołała wiewiórka na dzieci, aby także wyszły z mieszkania. Dzieci tych było troje, wszystkie bardzo jeszcze młodziutki, ale już zupełnie do matki podobne,

— Pójdźcie, dzieciatki — wołała matka — usiądźcie tu przedemną, na tych gałęziach wygodnych, ale usiądźcie przystojnie, jak dobrze wychowanym wiewióreczkom przystoi, a ja dam wam pierwszą lekcję, jak macie żyć na świecie.

Trzy wiewióreczki młodziutki, czyste, zwinne, natychmiast wyskoczyły z mieszkania, ostreimi jak igły pazurkami



Lasy.

chwytając się gałęzi i kory na drzewie, zbliżyły się w mgnieniu oka do matki, pousiadały naprzeciw niej na bujających się wygodnie gałęziach, a pousiadały ślicznie, prościutko, na dwóch tylnych łapkach, jakby na krzesłach grzeczne panienki, a przednie łapki złożyły skromnie przed sobą, ogonki podniosły w górę, przystroili nimi pięknie główki, jakby piórami dawnych rycerskich szyszaków, i słuchały. Matka zaś wiewiórka podała dzieciom: jednemu żołądź, drugiemu orzech, trzeciemu kilka ziarenek buczyny, aby malcom nie przykrzyła się lekcya, potem odehrząknawszy, tak mówiła:

— Dzieciatki moje kochane, nie znacie wy jeszcze życia i jego niebezpieczeństw, muszę was więc oświecić i dać wam rady macierzyńskie moje, przy bliżkiem już waszém wyjściu w świat z rodzinnego gniazdka. Otóż pamiętajcie przede wszystkim tę straszną prawdę, że z sukienek waszych, to jest z sierści, robią ludzie sobie pędzelki do malowania, a więc starają się mieć jak najwięcej materiału na te pędzelki i po to zabijają nas!

— Ach! Ach! Ach! — krzyknęły trzy przerażone wiewióreczki i zaledwo im nie wypadło z łapek, co w nich trzymały.

— Tak jest! — mówiła dalej matka, smutno ogonkiem kiwając — obowiązkiem moim było ostrzedz was o tej okropności; strzeżcie się najlżejszego szelestu, jeżeli nie chcecie aby sukienki wasze poszły na pędzelki, a wy na zgubę! To jest jedna rzecz, którą wam chciałam powiedzieć, a oto druga: czasem możecie się znaleźć w przykrém położeniu, nad brzegiem wody, potrzebując ją przebyć, powiedzcież mi, jakbyście to uczyniły?

Wiewióreczki zamyśliły się nad odpowiedzią.

— Mnie się zdaje, matusiu — rzecze jedna — że my wcale nie mamy odpowiedniej do pływania budowy, nie mamy takich błon u pazurków, u nówek, jak ma kaczką, jakże tedy

mogłybyśmy przebywać wody, bo i skrzeli nie mamy, jak ryby.

— Poczekajcie — rzekła stara wiewiórka — zaraz ja was praktycznie nauczę, jakim sposobem macie sobie radzić w tym wypadku. Pójdźmy nad brzeg téj wody, która tam oto bliższy pod drzewem, bo jak na wiewiórki, dosyć już dzisiaj macie lekcy siedząc.

To powiedziawszy, matka wiewiórka, otoczona trojgiem dziątek chciwych nauki, zaczęła przeskakiwać z drzewa na drzewo po ich wierzchołkach, jak najwyżej od ziemi. Gdy taką napowietrzną drogą matusia z dziećmi zaszła nad wodę, wtedy po gałęziach spuściła się ku niéj, popatrzyła bacznie naokoło i poczęła nagle gryźć i pazurkami odłupywać spory kawałek kory, oderwanęj na pół od pnia drzewa, na którym się znajdowały wiewiórki. Po chwili pracy, kawałek kory upadł na wodę i chwiał się na niéj, matusia wiewiórka wtedy lekko skoczyła na tę korę i rzekła:

— Ludzie budują sobie bardzo sztuczne łodzie, my czasem znajdujemy je gotowe na wodzie, ale w potrzebie musimy także nad zrobieniem ich pracować, tak jak ja to zrobiłam, a teraz oto patrzcie i ucziecie się kierować waszą łodzią tak, jak ludzie kierują swojami!

I mówiąc tak, matusia poczęła zręcznie bardzo, to nastawić ogonek swój, jak żagiel do wiatru, to znowu używając go, jak rudła, aż takim mądrym fortelem, kierując i poruszając swą korę, jakby łódkę, przepłynęła na niéj na przeciwny brzeg wody i napowrót do dzieci wróciła. Dzieci zdumione patrzyły, wytrzeszczając oczki.

Odtąd codziennie będziemy tu przychodzić na lekcye pływania na łodzi — mówiła matusia — abyście w razie potrzeby umiały sobie radzić, a tymczasem wiedzcie i pamiętajcie na całe życie, że przez naukę i pracę nabywa się wiadomości. a zatém, ucziecie się, ach ucziecie, dzieci moje!

GRYMAŚNICA.

Mała Kazia zwykle przy stole grymasiła, nie chciała jadać rosółu, mięsa, tylko leguminy, kartofle, które jéj szkodziły.

Mama gniewała się na nią, odbierała jedzenie lub od stołu wyprowadzała.

Pewnego dnia poszła Kazią z Mama i rodzeństwem na dalszą przechadzkę, deszcz zaczął padać ulewny i musieli się wszyscy schronić do małej chatki pewnego wyrobnika, który pracując dzień cały, nie miał posilnego pokarmu i nie raz postny kapuśniak musiał jemu i rodzinie na cały dzień wystarczyć. Deszcz padał kilka godzin i nie było sposobu dostać się do domu. Dzieci zgłodniały, a mała Kazia rzewnie płakać zaczęła.

Pocziwa gospodyni miała w piecu krupnik dla męża i własnych dzieci, podała Kazi trochę, i chleba grubego kawałek. Z wielkim apetytem zjadła dziewczynka i odtąd często jéj Mama przypominała ten krupnik, i sama też zrozumiała, że rosół smaczniejszy i przestała grymasić.

C. Falkowska.

MAŁA RZECZ A DUŻY WSTYD.

Opowiadanie Kazimierzy.

Wielka była radość dla Kazi i Micia, gdy się dowiedzieli, że pojedą z Ciocią na parę tygodni do Babci i Dziadunia, a gdy Ciocia powiedziała, że i mały Władzio pojedzie także, dzieci aż skakały po pokoju, klaszcząc w ręce i śpiewając wesoło. Dnia wyjazdu doczekać się nie mogły, a co to było szykowania, co wspólnéj narady, które zabawki zabrać a które zostawić, aż Ciocia musiała się wdać w to i powiedzieć stanowczo, że i czwartéj części zabrać tego nie mogą, bo miejsca tyle nie będzie w powozie.

— Ach, Ciociu kochaj — zawołała Kazia — ale już co moja córeczka, to musi jechać ze mną, onaby się zateśkniała tu sama, a i ja nie wytrzymałabym bez niéj tak długo.

Córeczka Kazi, była to ogromna lalka z jasnymi, długimi warkoczami, miała piękne niebieskie oczy, które zamykała i otwierała, i była bardzo a bardzo ładna. Lecz, niestety — ukochana córeczka nie miała jednéj nogi, druga noga nie miała znów stopy, u rączki odpadły jéj palce, niewiadomo z jakiéj przyczyny; domyślano się, że chyba je kiedyś odmroziła. I piękna buzia była uszpecona, bo nosek fatalnie był zbity. Nie zmniejszało to jednak miłości Kazi dla faworytki, bo chociaż miała więcéj lalek, ta jednak była jéj ulubioną córeczką.

Gdy więc Kazia prosiła tak serdecznie, aby mogła zabrać laleczkę, której było imię Maniuta, Ciocia spojrziała ze zdziwieniem na dziewczynkę i rzekła:

— Jakto? tę biedną kalekę chcesz zabrać z sobą? ależ to wstyd tak potłuczoną lalkę brać w drogę, zresztą, ona taka duża, zbyt wiele miejsca nam zabierze.

— Cioteczko najdroższa, ja całą drogę będę ją trzymała na kolanach — zawołała Kazia — a nóżki schowam pod salopkę i nikt nie zobaczy, że trochę potłuczone.

— A nosek? czy może uszyjesz jéj kapturek, aby go schować także? — zapytała Ciocia.

— Nosek? — rzekła zakłopotana trochę dziewczynka — tak, to prawda. Ach! — zawołała po chwili radośnie — przypnę jéj do kapelusika gęstą woalkę i noska widać nie będzie.

— Ha — rzekła Ciocia po krótkim namyśle — zabierz więc swoje biedną córeczkę, ale pamiętaj, żebyś ją ciągle trzywała na kolanach. Pomyśl dobrze, dziesięć mil, to trzeba będzie jechać dzień cały, a powtarzam ci, że w powozie będzie ciasno, skoro i Władzio jedzie ze swą piastunką.

— Ech, dopiero to osoby! ja, Micio i Władzio — mówiła Kazia, chcąc Ciocię przekonać, że będzie dosyć miejsca i dla Maniuty — my troje to i za jedną osobę nie zaważymy.

— Na wagę z pewnością, ale miejsca dziecko więcéj potrzebuje niż osoba dorosła, jeżeli jedzie się w dalszą drogę — rzekła Ciocia. — Ale niechże jedzie i ta nieszczęśliwa Maniuta.

— Moja Cioteczko — rzekła trochę nachmurzona Kazia — ciągle słyszę, jak Ciocia moję córeczkę nazywa biedną nieszczęśliwą, przecież ja jéj nie dokuczam i kocham ją bardzo.

— Oj nieosobliwa to miłość taka — rzekła Ciocia, kiwając głową — gdybyś istotnie była dla niej dobrą, miałyby dziś nos cały, i ręce i nogi niepourywane.

— Albożem ja temu winna? — zapytała Kazia.

— Któż więc winien? — rzekła Ciocia.

— Ja sama nie wiem — mówiła po namyśle Kazia, wzruszając ramionami. — Raz spadła ze stołu i stłukła nos — a nogi — to doprawdy nawet nie pamiętam, jak to się z niem stało. Ale niech już Cioteczka nie nazywa méj córeczki biedną i nieszczęśliwą kaleką, już teraz nic a nic jéj się złego nie zrobi.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień odjazdu, dzieci najpierwsze się pobudziły, tak im radość spać nie dała. Jeszcze ciemno było, gdy Kazia ubrała swoją Maniutę, a Micio uwiązał taką dużą pakę z łamigłówek, klocek i deseczek, że ani sposob było pomyśleć o tém, ażeby można na wszystko zmieścić do powozu. Po długich perswazyach Mamy i Cioci, Micio zmuszony był zostawić to wszystko w domu; zabrał tylko biczek, portmonetkę z pieniędzmi i mały flecik, na którym lubił wygrywać.

Zaszły konie nareszcie, furman palnął z bata, dzieci aż podskoczyły z radości, pożegnały Mamę i Tatusia, a nie czekając aż Ciocia wyjdzie, śpieszyły do powozu, aby jaknajprędzej jechać do Babuni i Dziadzi.

Z początku podróży wszystko było jak najlepiej, dzieci zachowywały się bardzo spokojnie i grzecznie, ale po dwóch godzinach drogi, zaczęły się kręcić i różne objawiać życzenia. Kazia uczuła, że jest głodna, Micio miał ochotę na herbatę.

co słysząc mały Władzio za rosół. Ciocia była w kłopotcie, jak wszystkim dogodzić na zaspokojenie głodu; były kurczęta pieczone, bułeczki i ciasteczka, były jabłuszka i różne inne przysmaki, ale ani herbatki, ani rosółku nie było w zapasach podróżnych. Miała więc Ciocia niemało biedy w drodze, aż przecie przyjechali do miasta, gdzie konie musiały odpocząć. W hotelu, gdzie stanęli, była także cukiernia, z czego dzieci niezmiernie były ucieszone.

— Proszę Cioci o herbatkę—zawołał Micio, ledwie wszedłszy do pokoju — bo mi się bardzo jeść chce.

— Ja proszę ciasteczko — wołał Władzio, który jeszcze bardzo źle wymawiał.

— Ja proszę Cioci o dziesiątkę, to sobie kupię cukierków — mówił znów Micio.

— Ja proszę dziesiątkę — powtórzył Władzio.

— Proszę Cioci karmelków — rzekł Micio, zdejmując futerko, bo było to na późnej jesieni, a obejrzawszy się dodał — proszę i o cukierki.

— I Władzio prosi cukierki — powtórzył znów malec za starszym braciszkiem, aż się roześmiał służący hotelowy, który pomagał rozbierać się Miciowi.

— Ho, ho, to paniczek bardzo niecierpliwy — rzekł do Micia — pewnie z daleka i chyba paniczek głodny.

Ciocia zawstydziała się mocno i aż się odwróciła do okna, udając, że nic nie słyszy, a Micio odpowiedział:

— Głodny nie jestem, ale chcę cukierków i ciastek, bo chcę i koniec.

Kazia, jako najstarsza, nic nie mówiła, nie naprzykrzała się Cioci wcale, tylko rozebrawszy się, wzięła swoją Maniutę na ręce i chodziła z nią po pokoju.

Ciocia kazała podać herbaty i ciastek, potem obiad, aby dzieci głodne nie były, ale chłopczykowi coraz zachciewało się co nowego. Wtém weszło na salę dwóch panów, kazali sobie podać herbaty i usiadłszy przy bocznym stoliku, rozmawiali przyciszonym nieco głosem.

— Proszę Cioci, jak się ci panowie nazywają? — zapytał Micio głośno.

Dwaj panowie obejrzeni się z uśmiechem na małego ciekawskiego, a Ciocia zgromiła go po cichu za niepotrzebne pytanie.

— Przecie Ciocia sama mówiła, że jak się czego nie wie, to należy się zapytać — odpowiedział Micio.

— Prawda — rzekła Ciocia — ale stosowałam to do rzeczy, z których się możesz nauczyć czego pożytecznego, albo gdy idzie o objaśnienie, jeżeli czego zrozumieć i pojąć nie możesz. Pytanie zaś, które teraz zrobiłeś, było niegrzeczne i niedelikatne.

Chłopczyk się zawstydził, odszedł do okna i zaczął wyglądać na ulicę. Kazia stanęła przy nim, mając na ręku swoją córeczkę, ale zdjęła jej kapelusik, widać więc było zbity nossek, a że Maniuta miała trochę krótką sukienkę, widać więc było potłuczone nóżki biedaczki.

Wtém wszedł na salę jakiś staruszek, miejscowy widać, bo zaczął sprzątać coś po stolikach, a zbliżywszy się do miejsca gdzie stały dzieci, spojrzął na Kazię i jej lalkę, i rozśmiawszy się głośno, rzekł do dziewczynki:

— A cóż to panienska za kalekę piastuje na rękę? A to chyba już na wojnie być musiała, nogi pewnie jej kula pobrywała, rękę może spadać odcięli, ale co nos, to już nie wiem, gdzie u kaduka straciła?

Kazia zaczerwieniła się, i prawie blizką była płaczu, nie jednak nie rzekła, tylko mimowolnie odwróciła Maniutę i nóżki jej przykrywała swoją sukienką.

Ale staruszek był widać gadatliwy, i nie spostrzegł pomieszanania dziewczynki, bo mówił dalej:

— Oj, potrzebnie też panienska brała z sobą w drogę takiego gruchota; a toż jabym to zamknął na dziesięć zamków, albo do licha w piec rzucił. No, prawda, że musiała ona niegdyś być ładna, bo to widać i dziś jeszcze, aleć teraz, Boże zmiłuj się, aż przykro na nią patrzeć.

Na te słowa, dwaj panowie obejrzeni się na Kazię, i młodszzy z nich uśmiechnął się trochę, i rzekł do swego towarzysza:

— Biedna lalka, nie życzyłbym sobie być na jej miejscu, moja Terenia, lepiej się swemi opiekuje, choć ani jednej nie ma tak pięknej, jaką ta być musiała.

— Nie wszystkie dziewczynki są tak porządne i dobre jak twoja Terenia, mój bracie — odpowiedział drugi, ze smutkiem patrząc na Maniutę, ale dla niektórych to szkoda pieniędzy na lalki, bo ich uszanować nie umieją.

Kazia zażawionemi oczami spojrziała na Ciocię, ale Ciocia wsparła głowę na ręce i przyglądała się jakiejś ilustracji, leżącej na stole, nie mogła więc widzieć spojrzenia dziewczynki. O! jakże żałowała, że nie usłuchała Cioci, i nie zostawiła Maniuty w domu, a jeszcze więcej było jej przykro, że przez jej własne niedbalstwo lalka tak zniszczoną została.

Szczęściem, Marynka przyszła powiedzieć, że konie już zaszły. Łatwo się domyśleć, jak Kazia ucieszyła się z tego, i z jakim pośpiechem zabierała się do odjazdu. Gdy już wyjechali za miasto, dziewczynka wzięła jakąś zbywającą chusteczkę, a zawiąawszy w nią Maniutę, rzekła nieśmiałym głosem:

— Proszę Cioteczki, czyby niemożna schować gdzie tej lalki?

— Twojej ukochanej córeczki? — zapytała Ciocia.

— Tak — odpowiedziała cicho dziewczynka.

— A gdzieżby ją schować, moje dziecko? Mówiłam ci przecież w domu, że będzie z nią w drodze kłopot, powiedziałaś, że będziesz ją ciągle trzymać na kolanach, i tak być musi, bo niema jej gdzie położyć.

— Ach! jaka szkoda, że nie zostawiłam jej w domu; tyle się przez nią musiałam nawstydzić, bo czy Ciocia słyszała, co mi jakiś tam stary nagadał niegrzeczności, a i ci panowie wyśmiewali się ze mnie.

(d. c. n.)

Homonimy (Zetka).

Bywa miarą do mierzenia,
Lub miastem w wołyńskiej ziemi;
Gniazdem pewnego imienia,
Sławnego czynami wielkiem.

Gwiazdka geograficzna (Kruszynka).

. . .
. . . R . . .
. . .

Zastąpić kropki literami, aby utworzyć wyrazy: 1. Wyżyna w Afryce. 2. Rzeka w Europie. 3. Twierdza sławna w historii naszej. 4. Jezioro w Ameryce.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Zagadki:

Ren — Ner.

Łamigłówniki głoskowej:

Lenartowicz.

Skrzynka do listów.

Strzała może być pewna, że miłe jej listki nigdy się redakcyi nie naprzykrzą, chociażby były daleko dłuższe. Opowiadanie będzie bardzo stosowne do naszego Dodatku i chętnie je wydrukujemy. **Ex-Czapla**, jeśli się nie mylimy, nazywa się Terenia i mieszka w Warszawie.

Jutrzenca i siostrzyczkom jej zasyła pozdrowienie Strzała.

Ex-Czapli obowiązani jesteśmy bardzo za światło jej rady i uwagi, nie możemy z nich wszakże korzystać. Bardzo to być może, iż szanowna **Ex-Czapla** posiada niepospolite zdolności redaktorskie, „**Wieczory**” jednak muszą pozostać i nadal pod dotychczasowym swym kierunkiem, który z wielką naszą pociechą zadawał nam coraz liczniejsze grono czytelników. Jedną tylko radę, w zamian za otrzymane, udzielimy kochanej **Ex-Czapli**, a to, żeby się wystrzegła *gniewu*, o którym pokilkakrotnie wspomina w liście, bo to uczucie najpierw niechrześcijańskie, a potem niestosowne dla młodej panienki, zarówno jak i nieuszanowanie dla starszych. Lepiej już wcale nie czytać rzeczy, które do gniewu pobudzają. Gdyby szanowna **Ex-Czapla**, obok wszystkich swoich przymiotów, a między innymi *hardości*, którą się tak przechwała, posiadała zdolność zastanowienia się i znajomość sztuki drukarskiej, mogłaby się sama przekonać, że tegoroczne wydanie „**Wieczorów**” mieści w sobie więcej tekstu, niż dawniejsze. Powinnaby także zrozumieć, mając lat trzynaście, że osoby, do naszej redakcyi należące, starsze i doświadczonejsze troszkę od niej, nie czynią postanowień bez namysłu i nie mogą ich zmieniać dla fantazyi, lub gniewów niczyich.

Iskierce. Łamigłówna jest dobra i niezbyt pospolita, zamieścimy ją niezadługo. Żądany **N-r** odesłany powtórnie, najlepiej w takim razie udać się wprost do redakcyi i **N-r** odebrać. Kazio obraża się zapytaniami o cenzury, bo zawsze miewa dobre, czego życzy kolegom i koleżankom. Synogarliczka ma imię Zosia, mieszka w Warszawie. Autorka „**Królewicza Tułacza**” dziękuje za wiadomość, że powieść jej tak się podobała.

Ukraince na Mazowszu, Synogarliczce i Kurzój Łapce, zasyła uściśnienia Iskierka.

Litwince. Lepiej późno jak nigdy. Żałujemy jednak, żeśmy się wcześniej nie poznali z korespondentką, która nam się wymknie niezadługo. Chociaż mamy takie kochane czytelniczki, które przyrzekają solennie, że z **Pismem** naszym nie rozstaną się *do swego włosu*, nie możemy jednak od wszystkich tego wymagać. Autorka „**Reginki**” z pewnością nie zawiedzie oczekiwania tych wszystkich, którzy z takim upragnieniem dalszego ciągu tej powieści oczekują.

Topolce z nad Kodemy. Łamigłówna się nie zatraciła, tylko czeka, aż się miejsce na nią znajdzie w **Pisemku**. Niech kochana **Topolka** będzie cierpliwa.

Kukułka z nad Huczwy nadesłała trafne rozwiązania zagadek z **N-ru 15-go**.

Chmurce dziękujemy serdecznie za miły listek i szaradę, bardzo dobrze ułożoną. My także pewni jesteśmy, że gdyby dwie nasze korespondentki **Chmurki** zeszły się z sobą, nie wypadłby z tego piorun i życzymy im, aby się spotkały kiedy w życiu. Druga **Chmurka** dla odróżnienia zwać się będzie **Chmurką błękitną**. Cieszymy się, że **Sylwetki** się dobrze udają.

Jaskółkom z nad Sekwany, Wisły, Warty i Granicy przesyła serdeczne pozdrowienie **Chmurka**, radaby, aby kiedy niedaleko od niej pobujały.

Gwiazdka z Czerwonj Rusi bardzo roztropnie mówi, że wierszyki tak młodziutkiej autorki nie mogą być bez zarzutu. Rzeknieszcie, chociaż dość zręcznie są ułożone, rymy w nich jednak należą do tych, które pospolicie nazywają „*częstochowskiemi*”. Radzimy **Gwiazdce** czytać poezye naszych wieszczów, a sama zrozumie wkrótce, jakie to rymy są bez zarzutu. W szaradach jednak nie wymaga się doskonałej poezyi i przesłane chętnie wydrukujemy.

Magnolia niech najpierw odczyta poprzednią odpowiedź. Autorka „**Reginki**” donosiliśmy już nieraz, jak wszystkie kochane czytelniczki nasze zachwycaly się jej powieścią i to ją zachęciło do napisania drugiej, za co i my wraz z czytelnikami serdecznie jej wdzięczni jesteśmy.

Lis bardzo dobrze układa łamigłównki i porządnie je pisze, ale dla braku miejsca musi czekać wraz z innymi. Cóż bowiem na to poradzić, gdy łamigłówek nadchodzi co tydzień kilkanaście lub więcej, a cztery lub pięć tylko wydrukować można? Niech kochani czytelnicy rozstrzygną sami to zadanie arytmetyczne.

Skowronek z Woli niech odczyta poprzednią odpowiedź.

Konwali i Bławatki. Przesłane kop. 30 oddano biednej rodzinie.

P. Ceraskiej. Literatura w skróceniu dla młodego wieku **Mecherzyńskiego** o wiele więcej warta od książki, o której Pani wspomina. Kosztuje rs. 2. *Żywoty sławnych Polaków* w oprawie rs. 3 kop. 80, bez oprawy rs. 2 kop. 50. *Lectures Illustrées* można prenumerować rocznie za rs. 2 kop. 80.

BIBLIOTEKA MATEMATYCZNO-FIZYCZNA.

wydawana pod redakcyą

M. A. Baranieckiego

Serya I tom I. Początki arytmetyki M. Berkmana str. 266, z drzeworytami. W oprawie kop. 65.

Serya I tom II III Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka. Część I str. 87 drzew. 47 w opr. kop. 30. Część II str. 140 drzew. 56 w opr. kop. 45.

Wiadomości początkowe z geografii fizycznej i meteorologii A. W. Witkowskiego kop. 45.

Serya III tom I Arytmetyka kurs teoretyczny M. A. Baranieckiego str. 433 z drzew. r 1 kop. 70.

Serya IV tom IV Geometria analityczna W. Zajączkoskiego str. 551 drzew 85 rs. 3.

FLORENTYNA Z KOSTROWICKICH CYWIŃSKA,

przyjmuje dla wspólnej nauki panienki dobrze wychowane do lat 15, francuzki, niemiecki i angielski język w wykładzie codziennym.

ulica Chmielna Nr. 26 mieszkania 7.

PENSYA DLA PANIENEK.

pani **MARYI SKRZYWANOWEJ** w Odesie, przy ulicy Targowej, dom Kohana.

(na żądanie szczegóły listownie).

Zakład Naukowy Żeński

Jadwigi Herman,

ŁĄCZNIE Z PENSYONATEM

Teresy Jadwigi Papi

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie.

Wiadomość przy ulicy Zielnej Nr. 15.